

M. S. WILLIS

DLA ELLISON

Tytuł oryginału
Because of Ellison
Copyright © 2014 by M. S. Willis
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Patrycja Siedlecka
Korekta:
Agata Polte
Magdalena Zięba-Stępnik
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-034-6

M. S. WILLIS

DLA ELLISON

**TŁUMACZENIE
PIOTR RAGANOWICZ**

OŚWIĘCIM 2019

Ta książka jest dedykowana wszystkim, którzy będą walczyć,
którzy walczą, bądź którzy walczyli. Jest dedykowana również tym,
którzy walczą ramię w ramię z tymi, których kochają.

Prolog

-2064-

Gdy Hunter McCormick spokojnie stapał ścieżką w kierunku podium, audytorium wypełniały lekkie brzęczenie kieliszków, cichy kaszel i pomruki. Każdy krok rezonował w starych kościach, co przypominało mu, jak wycieńczony stał się przez długie lata swojego życia.

Gdy dotarł do schodów prowadzących na scenę, mentalnie przygotowany do wygłoszenia przemowy, stawiał jedną stopę przed drugą, wchodząc po schodkach. To tutaj postanowił ujawnić inspirację swoich osiągnięć. Chciał okłamać widownię, nakarmić ją beзуżytecznymi medycznymi szczegółami oraz wspaniałą wizją swojego osiągnięcia, ponieważ wiedział, że żadna osoba w tym pomieszczeniu nie uwierzy w prawdę. W to, że prosta dziewczyna z podupadłego miasteczka nieświadomie doprowadziła do największego medycznego osiągnięcia stulecia.

Wspomnienia słonecznych dni spędzonych na wędrownkach oraz wędkowaniu obudziły się w jego myślach i maltretowały umęczoną duszę, gdy wchodził po schodach. Uśmiech tak jasny, że mógł oświetlić najciemniejszą noc, rozjarzył się w umyśle, przywołując podobny wyraz na jego twarz. Stare, popękane wargi nie mogły się powstrzymać od unoszenia ku górze na wspomnienie o niej.

Po wejściu na podium Hunter położył postrzępione kartki z przemową na gładkiej drewnianej powierzchni. Widzowie znieruchomieli, zapadła cisza. Wszyscy siedzieli niemal nie-

wzruszeni, czekając na to, co Hunter ma do powiedzenia. On natomiast, przeglądając wydrukowane litery, słowa i zdania standardowego, medycznego bełkotu, potrząsnął naprędcę głową, po czym zmiął notatki, a następnie przerzucił je przez ramię. Zwracając się znów w stronę widowni, odchrząknął. Przygotowywał się, by opowiedzieć całej sali o osobie, która zainspirowała go do wszystkiego, co zrobił.

– Przygotowałem przemowę. – Głos mu się załamał. Wiek zbierał żniwo na niegdyś mocnych strunach głosowych. – W tej przemowie była paplanina lekarza, który wynalazł lekarstwo na jedną z najokrutniejszych chorób znanych człowiekowi. Były to starannie przygotowane słowa na temat nauki, dążenia do wyleczenia i zniszczenia choroby, o tym, jak wpływa ona na zdrowie pacjenta, jego dobre samopoczucie, życie jego oraz rodziny. – Przerwał, zbierając siły, by się nie rozkleić podczas wspomniania jej. – Ale... te słowa nie miały znaczenia. Żadna z tych rzeczy nie była powodem, dla którego pracowałem tak ciężko i toczyłem walkę przez te wszystkie lata.

Publiczność czekała, bo Hunter śmiał się do siebie, wspominając blondynkę spoglądającą na niego spode łba. Tę, która obserwowała go oczami bezkresnymi jak niebo. Zwrócił znów uwagę na widownię i rozpoczął przemowę:

– Nazywała się Ellison James... i była największą suką, jaką spotkałem w swoim życiu. – Przerwał, czekając aż zbiorowe westchnienia ucichną w całym pomieszczeniu. Dopiero wtedy zamierzał przejść dalej.

Machnął ręką.

– Nie bądźcie zszokowani moją szczerością. Gdyby El była dziś z nami, zgodziłaby się z tym. – Znów się zaśmiał, nie mogąc zachować poważnej miny, gdy myślał o kobiecie, którą kochał. – Miała gotową odpowiedź na wszystko i zazwyczaj mi się to nie podobało. Ale była też niewiarygodną osobą. Dbała o ludzkość, była oddana naturze i mocno wierzyła w to, że lu-

dzie powinni używać swoich zdolności nie tylko dla własnych korzyści, ale także by wspomóc innych.

Jego twarz spoważniała. Zmarszczył brwi gotowy opowiedzieć tę historię. Głos znów mu się załamał, gdy wyznał:

– Jeśli chcecie wiedzieć, dlaczego miliony ludzi zostaną teraz ocalone, będę z wami szczery i przyznam, że jest tylko jedna, prosta odpowiedź... Dla Ellison.

Rozdział pierwszy

Pięćdziesiąt lat wcześniej

Otworzywszy szeroko oczy, ujrzałem przerażające promienie słońca, które w jakiś sposób przedzierały się pomiędzy ciemnych zasłon do mojej sypialni. Pulsujący ból z tyłu głowy zmusił mnie do refleksji, czy przypadkiem nie oberwałem kijem bejsbolowym, gdy byłem już zbyt najebany, by to zauważyć. Pograżone we śnie ciało mojej dziewczyny, Tiffany, ciążyło mi na prawym ramieniu, a bijące od niej ciepło sprawiło, że skóra w tym miejscu lepiała się od potu. Odwracając oczy od natrętnego światła, zawiesiłem wzrok na obracającym się śmigle wentylatora i przylegających do niego kępkach kurzu. Pokój był duszny, a moje usta gorące i suche niczym pustynia. Usiadłem, uwalniając ramię spod Tiffany, przez co bezlitośnie zwałem ją na podłogę.

– Co, do chuja, Hunter?! – pisnęła gniewnie bardzo wysokim, wwiercającym się w mózg tonem. Wstała chwiejnie, pocierając łokieć, by uśmierzyć ból po upadku.

Powoli odwróciłem wzrok w jej stronę, nie mając nawet zamiaru ukrywać odrazy do irytującego i skrzekliwego brzmienia jej głosu. Grymas niezadowolenia na zwykle idealnej twarzy Tiff tylko pogłębił moje obrzydzenie. Przez noc jej mahoniowe włosy rozczochrały się, a makijaż rozmazał. Gdy nie odpowiadałem, ruszyła w stronę łazienki. Pokazała mi środkowy palec, zatrzaszkując za sobą drzwi.

Właśnie ukończyłem liceum i rozpoczęły się wakacje. Mieszkałem w sporej wielkości pensjonacie należącym do moich rodziców. Miałem szybki, nedorzecznie drogi samochód, gorącą

dziewczynę oraz stypendium, które w pełni pokrywało koszty studiów na ekskluzywnej uczelni, na którą nie miałem zamiaru uczęszczać.

Jeśli mam być całkowicie szczery, miałem to wszystko gdzieś.

Od kiedy skończyłem trzynaście lat, czułem się znudzony życiem. W szkole wszystko wydawało się dla mnie zbyt proste, bo byłem geniuszem. Kiedy sprawdzono moje IQ w sędziwym wieku dziecięciu lat, zarządcy i nauczyciele skakali ze szczęścia, przekonani, że jestem świadectwem ich umiejętności w... cóż, zarządzaniu oraz nauczaniu. To jednak nie było ich zasługą, po prostu taki się urodziłem. Zawsze przewyższałem innych inteligencją, ale nie czułem się z tym dobrze. W późniejszych latach wpłynęło to na moje decyzje odnośnie stylu życia. Zaczęło się od alkoholu. Już gdy miałem czternaście lat, ukryty pod kocem odnajdywałem przyjemne otępienie w dwunastopaku bądź flaszcze. Ostatecznie to także mnie znudziło. Odkąd skończyłem szesnaście lat, zacząłem eksperymentować z narkotykami i dziewczynami, stawiając sobie za cel doświadczenie rubieży doczesnej egzystencji.

Przez większość życia cieszyłem się absolutną wolnością, z wyjątkiem comiesięcznego wykładu na temat odpowiedzialności, który byłem zmuszany przecierpieć. Moi rodzice, zbyt zajęci, by zainteresować się tym, co robię w wolnym czasie, traktowali oceny jako wskaźniki mojego postępu i skalę swojego sukcesu rodzicielskiego. Byłem zachwycony, gdy odkryłem, że nie zwracają na mnie uwagi. Dopóki miałem dobre stopnie i wytrzymywałem wykłady towarzyszące moim największym wybrykom, mogłem robić cokolwiek tylko mi przyszło do głowy. Tak właściwie to wyprowadziłem się z domu rodziców do pensjonatu, gdy miałem piętnaście lat, a oni zauważyli to dopiero po dwóch.

Zmusiłem się, by wyjść z łóżka, podniosłem z podłogi dzinsy, po czym wcisnąłem się w jedną nogawkę. Nie mogłem złapać równowagi, dlatego potrzebowalem kilku prób do tak prostej

czynność jak ubranie się. Pokój wciąż wirował, a pulsujący ból głowy wzmógł się, kiedy tylko krew zaczęła płynąć żwawiej w moim ciele. Gdy w końcu poradziłem sobie ze spodniami, musiałem natychmiast usiąść.

Trzymałem głowę w dłoniach, usiłując kontrolować ból nieustannie tłukący się po czaszce. Jedynymi dźwiękami w pokoju były lekki gwizd powietrza z obracającego się wiatraka oraz stukot przedmiotów z pomieszczenia obok, na których wyżywała się Tiffany. Kiedy cierpliwie czekałem, aż wróci z łazienki, aby wyprosić ją z domu, zadzwonił telefon. Czy wyrzucając ją tak po prostu, byłem dupkiem? Tak. Ale nic nie mogłem poradzić na to, że gdy miałem kaca, dźwięk jej głosu stawał się dla mnie torturą. Nie chcąc otwierać oczu, po omacku dotarłem do szafki nocnej. Wyciągając rękę po komórkę, zahaczyłem o kilka przedmiotów. Podtrzymując głowę jedną ręką, odczytałem wiadomość, która przyszła od mamy.

„Natychmiast rusz swój tyłek do domu!”

– Kurwa! – To dwusylabowe słowo sprawiło, że moje pragnące wody gardło zaprotestowało palącym bólem. Zmuszony raz jeszcze do wstania z łóżka, zatoczyłem się do drzwi łazienki, narpałem na nie całym ciałem, a następnie zacząłem walić w pomalowane na biało drewno. Tiffany otworzyła z taką szybkością, że niemal się na nią przewróciłem. Spojrzała na mnie swoimi brązowymi oczami pełnymi pogardy. Krzyżując opalone ręce na sztucznych piersiach, wysunęła nogę przed siebie, czekając na to, co mam do powiedzenia.

– Musisz już iść, mama chce się ze mną zobaczyć. – Chociaż drażniło mnie to, że musiałem przejść teren posiadłości w jaskrawym słońcu, by spotkać się z mamą, cieszył mnie pretekst do pozbycia się dziewczyny.

– Wszystko jedno, dupku. I tak wiem, że chciałeś, żebym poszła. – Wyprostowała się i ruszyła, popychając mnie z powrotem na framugę drzwi. Zignorowałem ją. Przewróciłem oczami,

a później podszedłem do umywalki, chwyciłem za kurek, po czym wsadziłem głowę pod kran. Czuję, że wszystko, co zjadłem, przez całą noc drapało moje wnętrzności, zmieniając mnie w spragnionego kundla. Kiedy wreszcie udało mi się odkręcić kran, zacząłem językiem chleptać wodę, desperacko próbując nawilżyć odwodniony organizm. Po zaspokojeniu pragnienia zakręciłem kurek, a następnie podniosłem wzrok na lustro. Moje zazwyczaj wyraziste niebieskie oczy stały się mętne, a jasnobrązowe włosy sterczały w dość niechlujny sposób. Po szczegółowej obserwacji mojego mizernego stanu zdałem sobie sprawę, że koniecznie muszę opróżnić pęcherz. Sikałem chyba z piętnaście minut, zanim mogłem strzepnąć, a potem potoczyłem się bezwładnie z powrotem do sypialni.

W kącikach moich ust pojawił się niewielki uśmiech, gdy zauważyłem, że Tiffany zniknęła. Wiedziałem, że zobaczymy się w ciągu godziny i znów będzie mi zrzędzić, tak jak tylko ona potrafi. Nie mogłem nic poradzić na to, że cieszyłem się tą chwilą wytchnienia. Nie kochałem Tiff – nie wiedziałem nawet, czym jest miłość – ale mimo to odgrywałem swoją rolę w związku dla seksu oraz statusu osoby spotykającej się z najgorętszą laską w szkole. Typowa popularna dziewczyna; jej uroda była godna podziwu, inteligencja śmiechu warta, a przebywanie z nią możliwe tylko jeśli się najebałem. Próbowałem z nią raz porozmawiać o ulotnej myśli, że życie to coś więcej, że czegoś mi brakuje, że nam jako społeczeństwu umyka coś ważniejszego od nas samych. W odpowiedzi roześmiała się, a po chwili odgarnęła włosy na plecy, mówiąc, abym dał sobie z tym spokój, bo przecież jesteśmy bogaci i mamy wszystko. Od tego czasu nie próbowałem już rozmawiać z nią na podobne tematy. Szybko założyłem pogniecioną koszulkę i okulary przeciwsłoneczne, by przezwyciężyć ociążałość i móc wyjść ze słabo oświetlonego mieszkania na rażące światło dnia. Gdy w pośpiechu przemierzalem budynek, coś zwróciło moją uwagę, ale nie zastanawiając

się, szedłem dalej. Pensjonat stał na szczycie wzgórza, za domem rodziców, co przyjmowałem z wdzięcznością, gdyż pochyłe zbocze było znacznym ułatwieniem. Wiedziałem jednak, że zemści się ono na mnie w drodze powrotnej. Po dotarciu do domu rodziców odrzuciłem od siebie tę przykrą myśl. Przechodząc przez podwórko, ujrzałem matkę wpatrującą się w basen. Ręce oparła na biodrach, a grymas na jej twarzy ostrzegał, że coś jest nie w porządku. Szedłem powoli, zauważając, że rosnące niegdyś wzdłuż basenu krzewy leżały porzrzucone dookoła, a do wody prowadził mokry szlak z liści oraz błota. Matka, zwróciwszy głowę w moim kierunku, wskazała na coś ręką.

– Masz zamiar to wyjaśnić?

Patrząc we wskazaną stronę, zobaczyłem liście unoszące się na odbijającej światło tafli wody. Wijące się strumienie brudu wirowały na powierzchni. Spojrzałem na matkę, wzruszając ramionami.

– Wy tłumaczyć co? Nie zniszczyłem tych jebanych krzewów.

Jej twarz wykrzywił grymas cierpienia. Chwyciła się za głowę.

– Spójrz DO wody.

Zrobiłem kilka niepewnych kroków do przodu i spojrzałem w dół, za krawędź basenu. Na widok, jaki tam zastałem, zachwiałem się, wytrzeszczając szeroko oczy.

– Kurwa.

Ktoś, kto tylko przechodziłby obok i nie zajrzał do środka, z łatwością mógłby to przeoczyć.

Czarny kolor mojego BMW doskonale komponował się z lazurowymi kafelkami basenu, a gdy promienie słońca sięgały wody, ledwie ocierając się o srebrzyste akcenty, sprawiały, że chromowane elementy migotały.

Serce podeszło mi do gardła. Z trudem je przełknąłem. Chciałem, by wróciło na swoje miejsce.

– Jak już pytałam, Hunter, CZY zechcesz wytłumaczyć, dlaczego twój SAMOCHÓD znajduje się na dnie naszego BASENU?!

Otworzyłem usta, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Stałem tak z rozdziawioną gębą, zszokowany i upokorzony. Obróciwszy się na pięcie, spojrzałem na wzgórze, w kierunku pensjonatu, i zdałem sobie sprawę z tego, co zwróciło moją uwagę zaledwie kilka chwil wcześniej. Samochodu nie było tam, gdzie zwykle go zostawiam. Opony zdarły trawę na trasie, którą pokonał pojazd, tocząc się w dół zbocza z taką prędkością, że przedarł się przez krzewy, po czym wylądował na dnie basenu. Zamrugałem raz... i znowu... Odwróciłem się na spotkanie budzącego grozę spojrzenia mamy. Zębatki w moim mózgu obracały się z maksymalną prędkością, wypływając ładunek bzdur w nadziei, że uspokoi to bestię tkwiącą w stojącej przede mną kobiecie.

– Ja pierdołę! Nie wierzę, że architekci i inżynierowie projektujący to miejsce nie uwzględnili położenia basenu. To oczywiste, że zaprojektowanie podjazdu na szczycie zbocza, które prowadzi do basenu, jest kiepskim pomysłem. Natychmiast powinnaś do nich zadzwonić, by zażądać odszkodowania.

Oboje skrzyżowaliśmy ręce na piersiach. Ja w oburzeniu, a mama w absolutnej, czystej furii.

– Nie wciskaj mi kitu, Hunter! Jak to się stało?auta nie jeżdżą same od tak. Czy zadałeś sobie chociaż trud, gdy parkowałeś samochód po powrocie do domu zeszłej nocy?

Nie miałem zielonego pojęcia. Wspomnienia z poprzedniego wieczoru w najlepszym przypadku były mgliste. Zabrałem Tiffany na imprezę do domu Ethana. Były tam czerwone, plastikowe kubeczki oraz drobne prezenty zawierające narkotyki, jakich tylko dusza zapagnie. Zaświtał mi pomysł – a przynajmniej tak mi się wydawało. Nie byłem nawet pewien, jak wróciłem do domu. Prowadziła Tiffany? Czy ja? To musiała być ona, ja nie zrobiłbym niczego tak kretyńskiego.

– Tiffany odwiozła nas do domu zeszłej nocy. Musiała zaparkować za blisko pochyłości. Lepsze rozplanowanie tego miejsca zapobiegłoby takiej sytuacji. To znaczy... Jaki fachowiec umieściłby...

– Dość! – krzyknęła, unosząc ręce, po czym ruszyła w kierunku podwójnych szklanych drzwi na tyłach domu. Dała mi znak, żebym wszedł za nią do środka. Kopnąłem leżący na ziemi śmieć, schowałem ręce do kieszeni i poszedłem za matką. Gdy dotarliśmy do salonu, ojciec rozmawiał przez telefon, przeglądając dokumenty chaotycznie porozrzucane na drewnianym stole. Podniósłszy wzrok, gdy weszliśmy do pomieszczenia, powiedział szorstko do rozmówcy, że musi kończyć. Odrzucił telefon na bok i wstał.

– Hunter, synu, to był ostatni raz. Tego ranka, gdy znaleźliśmy z mamą *samochód* w naszym *basenie*, niemal ruszyłem do twojego domu, by sprać cię na kwaśne jabłko za tak nieodpowiedzialny wybryk! Czy masz pojęcie, ile to mnie będzie kosztować?! Nowiuteńki samochód! Nie wspominając już o uszkodzonej nawierzchni basenu! Co, do cholery, jest z tobą nie tak?!

Wzruszyłem ramionami i odsunąłem się od ojca, by zwiększyć dystans pomiędzy mną a jego gniewem. Spojrzałem mu w twarz, która przybrała już jasny odcień fioletu. Zauważyłem, że włosy zdają się stawać mu dęba.

– To był wypadek...

– Wiesz co? Mam dość twoich wypadków, które są tylko i wyłącznie wymówką od twojego kompletnego braku odpowiedzialności. Musisz, do jasnej cholery, dorosnąć, synu. Masz dziewiętnaście lat, *powinieneś* ukończyć szkołę w wieku siedemnastu, ale nie chciało ci się przemęczać i zaczynać życia na własny rachunek. Otrzymałeś stypendium na Harvardzie, ale nie spodziewaj się, że z takimi nawykami pójdzie ci tam tak łatwo, jak w liceum. Musisz zacząć brać swoje życie na poważnie. Wspieraliśmy cię do tej pory, ale jeżeli nie weźmiesz się w garść, to się skończy. Co więcej, twój styl życia poważnie nas niepokoi. Podejrzewamy oboje, że nie tylko pijesz, ale też bierzesz narkotyki. Właściwie dlatego teraz kołyszysz się w przód i w tył? Ściągnij te pieprzone okulary przeciwsłoneczne, byśmy mogli spojrzeć ci w oczy! Jesteś pijany czy co?

Całe moje ciało naprężyło się, gdy próbowałem utrzymać się w pozycji pionowej. Nie zauważyłem, że się kołyszę, ale biorąc pod uwagę to, jak wielkiego miałem kaca, było to bardzo prawdopodobne. Chciałem usiąść, ale wtedy udowodniłbym tylko, że ojciec ma rację. Sięgnąłem po okulary i ściągnąłem je, tylko po to, by napotkać wszystkowiedzące spojrzenia rodziców. Od razu pożałowałem, że przed przyjściem tutaj nie użyłem kropli do oczu.

Ojciec skrzyżował ręce na klatce piersiowej, unosząc brew.

– Tak, jak myślałem. Twoje oczy są przekrwione jak diabli. – Podszedł bliżej, po czym zaczął mnie obwąchiwać – Śmierdzisz alkoholem i papierosami.

Nie miałem nic do powiedzenia, mimo że normalnie mój mózg działał jak dobrze naoliwiona maszyna. Alkohol oraz narkotyki, które ochoczo pochłaniałem zeszłej nocy, działały jak lepka maź sklejająca zębatki. Nie byłem w stanie przywołać jakiegokolwiek argumentu, który zmniejszyłby złość taty. Zrobiłem to, co każdy dziesiętnastolatek zrobiłby na moim miejscu: patrzyłem na niego w osłupieniu, trzymając głowę na kłódkę. Może w tym momencie myślenie przychodziło mi z trudem, jednak zdawałem sobie sprawę, że czasem lepiej jest milczeć i zostać skrytykowanym, niż odezwać się i dolewać oliwy do ognia.

– Usiądź, zanim się przewrócisz, Hunter – powiedział nagle ojciec głosem pokonanego człowieka. Ale czy to on przegrał, czy może ja?

Usiadłszy na kanapie, oparłem się o poduszki, po czym wyciągnąłem przed siebie długie nogi i założyłem jedną na drugą. Gdy kazali mi usiąść, wiedziałem, że czeka mnie wykład. Jeśli miałem go przetrwać, to tylko w wygodnej pozycji.

Rodzice zajęli miejsca obok siebie na kanapie naprzeciwko. Poruszyli ustami, więc wiedziałem, że zaczęli tyradę. Ja słyszałem jedynie bezładny zlepek słów oraz dźwięków, więc zacząłem odpływać myślami w niezbadane jeszcze rejony świadomości.

Znudzony powtarzalnymi, motywującymi przemowami, które towarzyszyły mi przez całe życie, błdziłem myślami. Przypomniałem sobie, że wieczorem miałem jechać na kolejną imprezę. Zdałem sobie jednak sprawę, że może to być nieco utrudnione przez leżący na dnie basenu samochód. Skinąłem głową i przybrałem poważną minę, knując, jak przekonać rodziców do użyczenia mi kolejnego auta z imponującej kolekcji taty – przynajmniej do czasu, aż kupią mi nowy.

Rodzice wciąż poruszali ustami, a ja wciąż im przytakiwałem, gdy nadchodziły kluczowe momenty.

– Nie będziemy przy tobie na zawsze...

– Naucz się odpowiedzialności, abyś w przyszłości stał się samowystarczalny...

– Życie nie polega tylko na zabawie...

– Twoja przyszłość zależy od decyzji, które podejmujesz teraz...

Dopóki sprawiałem wrażenie uważnego słuchacza, rodzice powinni być usatysfakcjonowani. Szczerze, powinienem mieć podpisany przez nich scenariusz tej przemowy, i obiecać, że będę go czytać raz na kilka miesięcy, by uniknąć niepotrzebnych wykładów w przyszłości. Podczas gdy próbowałem przypomnieć sobie, co działo się poprzedniej nocy, usłyszałem coś niespodziewanego.

– ...spędzając to lato na Florydzie ze swoim wujkiem...

Co, do cholery?! Te słowa NIE były częścią scenariusza.

Wyprostowawszy się, uniosłem ręce, by przerwać tyradę ojca.

– Że co?! Proszę, powtórzcie raz jeszcze ten fragment o Florydzie.

– Cóż, najwyższy czas, byś zwrócił uwagę na to, co mówię – powiedział ojciec protekcyjnym tonem. – Razem z twoją matką uznaliśmy, że masz zbyt łatwe życie i dlatego musisz ustalić swoje priorytety. Wysłałyśmy cię na wakacje do wujka Billa. Zaprzęgnie cię do pracy w domu i zobaczysz, jak to jest żyć w ubóstwie, zamiast mieć podsunięte wszystko pod nos. To bę-

dzie dla ciebie dobre. Synu – westchnął – ja na początku nie miałem nic, musiałem ruszyć tyłek do roboty i na wszystko zapracowałem sam. Dzięki temu znalazłem się tu, gdzie jestem dzisiaj. I nie pozwolę, do cholery, abyś dalej zachowywał się jak nastoletni przestępca. Albo dorośniesz, albo będziesz radził sobie sam. Zrozumiałeś?

Moje oczy przesuwwały się między matką a ojcem. Oboje skrzyżowali ręce na piersiach, a ich twarze wskazywały na to, że są śmiertelnie poważni. Musiałem jakoś z tego wybrnąć. Zabranie mi przerwy wakacyjnej zaraz przed rozpoczęciem studiów mogło kompletnie zrujnować moje życie. No dobra, nie życie, ale co najmniej całe lato.

Odchrząknąwszy, postawiłem na swoją ale-przecież-jestem-waszym-małym-synkiem minę i starałem się przełamać najsłabsze ogniwo – mamę. Jeśli przekonam ją do odstąpienia od tej decyzji, tata również może się złamać.

– Posłuchajcie, przepraszam za samochód, jest mi przykro z powodu waszego basenu. Zapewniam, że to się już nigdy nie powtórzy. Przecież nie mówicie serio o tej Florydzie. Nie widziałem wujka Billa, od kiedy skończyłem pięć lat. Czy on nie żyje na kompletnym odludziu? Jak łożenie po bagnach może mnie czegoś nauczyć? Jeśli chcecie mnie ukarać, to lepiej zostawić mnie tu, gdzie możecie mnie mieć na oku.

Wyrazy ich twarzy mówiły mi, że tymi argumentami niczego nie osiągnę. Szybko, myśl. Łomotało mi w głowie, a ponadto zmagiałem się z mazią sklejącą zgrzytające zębatki, jak więc miałem teraz na coś wpaść? Uderzyła mnie smutna rzeczywistość.

Nie miałem wyjścia.

A więc lecę na Florydę.

Rozdział drugi

Dość niefortuną rzeczą w byciu dzieckiem z zamożnej rodziny jest to, że rodzice mogą pozwolić sobie na irytujące udogodnienia, takie jak prywatny samolot. Zamiast kilku dni... do diabła... miałem kilka godzin, by wymyślić, jak uniknąć zesłania na wygnanie. Zagoniono mnie do pensjonatu jak niewolnika i zmuszono do wzięcia swoich ubrań, po czym zostałem obcesowo zapakowany do ojcowskiego odrzutowca szybciej, niż byłem w stanie ogarnąć, co się dzieje. Mój los został przesądzony, jeszcze zanim osiągnąłem czterdzieści tysięcy stóp nad ziemią.

Rodzice upewnili się, że ogołocili mnie ze wszystkiego: telefonu, iPoda, laptopa. Wszystkiego. Jeżeli coś można było podłączyć do prądu, zostało zabrane. Nie miałem nawet szansy na szybkie wysłanie przez media społecznościowe prośby, by któryś ze znajomych przyleciał i mnie wyzwolił. Gdyby mój samochód nie chłodził się teraz w basenie, pewnie zastanawiałbym się nad wykorzystaniem go do ucieczki. Następne w kolejce były moje karty płatnicze. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo jestem zależny od plastiku. Uświadomiłem to sobie dopiero, gdy w przerażeniu obserwowałem mamę wyciągającą czworokątne arterie życiowe z wnętrza mojego portfela. Po wszystkim szorstko wręczyła mi z powrotem pustą, skórzaną skorupę. Jedynie, co mi zostało, to dowód osobisty oraz ukryty tuż za nim jego falsyfikat.

Czas spędzony w samolocie wykorzystałem, by się zdrzemnąć. Po jakichś dwóch godzinach pilot obudził mnie, obwieszcza-
jąc, że dotarliśmy na Florydę. Wyjrzałem przez okno i jęknąłem, widząc, że miniaturowe miasteczka, które mijaliśmy w drodze

z Nowego Jorku, zostały zastąpione przez kępę – cóż – traw, rozchodzącą się gdziekolwiek by nie spojrzeć. Raz na jakiś czas mieliśmy szary skrawek czegoś, co, jak podejrzewam, na Florydzie nazywano miastem. Trudno mi było ustalić, czy zdołam przeżyć panujący tu bezkres dzikiej przyrody, która najwyraźniej uciekła w amoku do tego zapomnianego przez Boga miejsca. Byłem w pełni miastowym chłopakiem. Nigdy nie podaliśmy sobie ręki z naturą, nie licząc wypielegnowanych trawników na podwórku rodziców czy znajomych, i wakacji, które spędziłem na obozie, gdy byłem dzieckiem, i kielka fasoli, któremu pomogłem wyrosnąć, gdy byłem w przedszkolu. Nazwałem go Earl i byliśmy bardzo blisko do czasu, aż przez jakiś miesiąc zapomniałem go podlewać. Wtedy się na mnie wypiał. Ten eksperyment dowiódł, że człowiek nie powinien wierzyć naturze. Jeżeli nie dasz jej tego, czego żąda, nie będzie chciała mieć z tobą do czynienia. Od tamtego momentu jej nie ufam.

Przez następną godzinę rozglądałem się po kabinie samolotu, bezmyślnie stukając palcami o uda. Brak technologii dawał mi się we znaki i zaczynało mi jej brakować tak jak narkomanowi kolejnej działki. Próbowałem wymyślić jakiś sposób na powiadomienie przyjaciół o tym, że potrzebuję ratunku. Brałem pod uwagę znaki dymne, gołębie pocztowe, a nawet alfabet morsa. Niestety, nowoczesne udogodnienia stłamsiły już archaiczne metody komunikacji i nawet jeżeli udałoby mi się wysłać wiadomość, to moi znajomi nie byłiby w stanie jej odczytać. Miałem przejebane, dobrze o tym wiedziałem. Byłem cholernie zrozpaczony decyzją moich rodziców. Co ja niby mam robić w kompletnej głuszy przez trzy długie miesiące? To nie była kara, ale tortura. Gdzieś tam były imprezy, które mnie omijały, i alkohol, który łął się do gardeł jakichś innych szczęśliwych drani, podczas gdy ja siedziałem w środku lasu i naprawiałem jakieś gówno. Nie zasłużyłem sobie na to.

Samolot wylądował na kompletnym odludziu. Po paru minutach z kokpitu wyszedł pilot z wielkim uśmiechem zdobiącym dobroduszną twarz

– Przybyliśmy na miejsce, panie McCormick. Partner biznesowy pańskiego ojca czeka na pasie startowym, by zaprowadzić pana do miejsca docelowego podróży.

Spojrzałem w brązowe oczy pilota. Na jego opalonej twarzy rysowały się cienkie zmarszczki, lecz siwe włosy na skroniach nadawały mu wytwornego wyglądu. Wstając, sięgnąłem do luku bagażowego, by wziąć swoje rzeczy. Wyciągnąłem swoje okulary przeciwsłoneczne, po czym założyłem je, zanim wyszedłem. Zobaczyłem pilota ściskającego dłoń facetowi, którego nie rozpoznałem, a który ubrany był mniej więcej tak, jak mój ojciec. Jego garderobę stanowił garnitur w prążki. Mężczyzna odwrócił się do mnie z uśmiechem i gestem ręki pokazał, bym do nich przyszedł.

– Hunter! – Nieznajomy podszedł prosto do mnie z ręką wyciągniętą w geście powitalnym. Mocno ściskając mi dłoń, przedstawił się: – Nazywam się Robert Klimpt i jestem partnerem biznesowym twojego ojca. Zadzwoił i poprosił o zezwolenie na lądowanie na naszym prywatnym lotnisku. Zaprowadzę cię tam, gdzie czeka już twój wujek. Miło mi cię poznać. Jesteś bardzo podobny do ojca.

Cofnąłem rękę, skinąłem, w odpowiedzi mrużąc coś niezrozumiałego. Ruszyliśmy do czekającego na nas wózka golfowego. Minęło jakieś dziesięć minut, a pan Klimpt bełkotał wciąż o interesach, które prowadził z moim tatą. Dotarliśmy do wielkiej, żelaznej bramy na końcu lotniska. Za jej grubymi prętami dostrzegłem czerwoną ciężarówkę, która chyba nie była myta, odkąd została zbudowana, czyli mniej więcej od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku. Wyblakła farba miejscami była zniszczona przez rdzę, a wgniecenia oraz zadrapania pokrywały metalową powierzchnię. Obok ciężarówki stał człowiek, który,

jak przypuszczałem, był moim wujkiem Billem, oraz jakaś drobna blondynka. Oboje ubrali się w białe koszulki i przycięte dżinsowe spodnie. Wujek miał na sobie klapki, a dziewczyna stała obok po prostu na bosaka. Miała krótkie włosy, które muskały jej ramiona, gdy mówiła coś z ożywieniem. Mężczyzna uśmiechał się do niej za każdym razem, gdy kończył brać bucha cygara, ale gdy tylko podszedłem do bramy, utkwiał wzrok we mnie.

– No proszę! Hunter! Twoja matka przysłała mi kilka zdjęć, ale nie spodziewałem się, że będziesz taki wysoki! Ile masz wzrostu? Sześć i pół stopy? – Głos wujka brzmiał szorstko po latach palenia, a jego skóra przypominała znoszoną, pomarszczoną koszulę. Był prawie tak szeroki, jak ja wysoki. Istna ściana mięsa. Wydał z siebie ryk, który mógłby obudzić umarłego, po czym wskazał na drobną blondynkę. – Pamiętasz swoją kuzynkę, Lily, prawda? Oboje jesteśmy bardzo podekscytowani tym, że spędzisz z nami te wakacje.

Gdy brama się otworzyła, złapałem swoje torby, powoli wyszedłem z wózka golfowego, a następnie ruszyłem w ich kierunku. Gdy tylko wysiadłem, pan Klimpt natychmiast się pożegnał i odjechał tak szybko, jakby bateria akumulatora miała się zaraz rozładować. Odwróciłem się zrezygnowany do wuja i zarzuciłem torby na plecy, trzymając je jedną ręką tak, by drugą móc się przywitać.

– Ach, tak, pamiętam Lily. Cześć. – Pomachałem do dziewczyny, a ona w odpowiedzi osłepiła mnie uśmiechem jasnym niczym promyk słońca.

– Hunter! – Objęła mnie, wyciągając ręce najszerzej jak tylko mogła. – Naprawdę cieszę się, że cię widzę. Opowiedziałam o tobie mojej najlepszej przyjaciółce i jest podekscytowana jak diabli tym, że cię spotka.

Rany, ta dziewczyna naprawdę szybko mówi...

– Nie wyrażaj się tak, młoda damo. – Wujek spojrział na nią z niby karcącą miną, który szybko zastąpił uśmiechem.

Lily wzruszyła ramionami.

– Dalej, ruszajmy. Tracę tylko cenny czas, stojąc tak w słońcu. – Odwróciła się raptownie i w podskokach ruszyła do ciężarówki. Wujek chichocząc, poklepał mnie po plecach.

– Lepiej ruszajmy, synu. Jeśli te dziewczyny przebywają zbyt długo na słońcu, zaczynają zachowywać się jak opętane, a jest to dość przerażające.

Skinąłem głową, po czym ruszyłem za nim. Lato zapowiadało się fatalnie, ale nie miałem innego wyboru, niż wziąć się w garść i jakoś je przetrwać.

~~~~~

W drodze do domu wujka było nam ciasno, bo musieliśmy zmieścić się w kabinie ciężarówki. Lily paplała o wszystkich rzeczach, jakie robili na Florydzie, a ja uśmiechałem się, próbując nie patrzeć na niekończące się morze zieleni za oknem. Większość zajęć wymienionych przez kuzynkę obejmowało bycie na zewnątrz w ciągu dnia, a potem spanie. Skrzywiłem się na myśl, że rytm życia, który wyrobiłem sobie przez ostatnie kilka lat, zostanie wyparty. Była piętnasta, więc teraz powinienem spać i mieć jeszcze jakieś dwie godziny do pobudki.

Gdy dotarliśmy do celu, a wujek zaparkował ciężarówkę na zalesionej działce, oczy raz jeszcze wyszły mi z orbit. Patrząc od strony drogi, budynek był częściowo ukryty za drzewami, a obok stał jeszcze jeden, po lewej stronie domu wujka. Spojrzałem na metalowe dachy obydwu i moją uwagę przykuła aluminiowa okładzina budy, ekhem, budynku, w którym przyjdzie mi mieszkać. Nieznaczne resztki farby, które przetrwały na okładzinie, wyglądały niechlujnie na rzucającej się w oczy szarej aluminiowej powierzchni. Dom został wzniesiony nad poziomem gruntu i spoczywał na drewnianej podbudówce. Niepewne schody prowadziły do drzwi frontowych. Gdy tylko się zatrzy-

maliśmy, Lily wyskoczyła z samochodu i pobiegła na górę, szybko znikając we wnętrzu domu.

Kiedy wyszedłem z ciężarówki, ugrzęzłem głęboko w błotnistej kałuży.

– Cholera! – zakląłem, wyciągając mokry but z brązowej mazi. Wuj zachichotał.

– Tak, musisz na to uważać. Na Florydzie pada codziennie, synu, a brak betonu sprawia, że chodzenie po podwórzu może nieźle dać w kość. Przyzwyczaisz się. – Znów zachichotał, poklepał mnie po plecach, a następnie zaprowadził do domu. – Wiem, że to miejsce nie wygląda najlepiej. Dlatego też byłem zadowolony, słysząc, że przylecisz do nas w te wakacje, by pomóc w naprawie. Mam już materiały, więc będziesz musiał tylko zdrapać i przygotować okładzinę, zanim ją pomalujemy. Myślę, że jeżeli zaczniesz teraz, to zdążysz zrobić całkiem sporo jeszcze przed kolacją o dziewiętnastej.

Wchodziliśmy po rozklekotanych schodach, gdy Lily podskakując, wybiegła zza drzwi, prawie mnie taranując.

– Wychodzę, tatusiu! Gdybyś mnie potrzebował, El i ja będziemy tam, gdzie zazwyczaj.

Zniknęła, podążając w kierunku drugiego budynku, a mnie poprowadzono do środka. Nie byłem zaskoczony widokiem niedopasowanych mebli oraz porysowanej drewnianej podłogi. Wujek szybko pokazał mi łazienkę i pokój. Dał mi tylko tyle czasu, bym zostawił swoje rzeczy, a potem zaprowadził mnie z powrotem do salonu. Następnie wyszliśmy tylnymi drzwiami na otwarty ganek, zaśmiecony częściami samochodowymi i śmiercionośną mieszkanką chemikaliów zamkniętych w oddzielnych butelkach. Jeżeli to miejsce się zapali, to będziemy mieć przejebane.

Wujek zaczął wyciągać różne szczotki oraz butelki ze spryskiwaczami i bezbarwnym płynem w środku.

– Przepraszam za bajzel, synu, ale nie mam czasu, by posprzątać to gównu i jednocześnie utrzymać sklep motoryzacyjny. Mógłbym poprosić o to Lily, ale o ile jest dobra w czytaniu i wyglądaniu uroczu, nie ma pojęcia, jak poradzić sobie z narzędziami czy pracą fizyczną. Twoje przybycie jest prawdziwym szczęściem w nieszczęściu. Temu miejscu dobrze zrobi zastrzyk testosteronu. Dobra, muszę wracać do pracy, ale jedyne, co musisz zrobić, to spryskać rozpuszczalnikiem resztki farby i poczekać minutkę, zanim ją zdrapiesz. Biorąc pod uwagę fakt, że jest stara, to nie powinieneś mieć z tym problemu. Jak skończysz – sięgnął po coś i podniósł jednogalonową<sup>1</sup> puszkę farby oraz pędzel – położysz jedną warstwę farby do gruntowania. Jesteś mądrym chłopakiem, bez problemu załapiesz, co i jak.

Wziąłem od wujka puszkę i pędzel, a ten natychmiast odwrócił się, by odejść. Przeszedłem przez dom, mając zamiar zacząć od elewacji frontowej. Schodząc po rozklekotanych schodach, usłyszałem szcęk metalu o metal i odskoczyłem, myśląc, że ten cały cholerny dom zaraz się zawali. Odwróciwszy głowę, zobaczyłem budynek w nienaruszonym stanie, oraz Lily z inną dziewczyną w strojach kąpielowych, wspierające drabinę o ścianę budynku. Kuzynka zachichotała w odpowiedzi na coś, co powiedziała jej koleżanka, po czym spojrzała na mnie, nieudolnie próbując zachować dyskrecję. Ale ja wiedziałem. Otrząsnąłem się, zeskoczyłem ze schodów i poszedłem zdrapywać farbę. Kolejne skrzyknięcie drabiny znów zwróciło moją uwagę. Dostrzegłem, jak obie dziewczyny wchodzą na dach. Ostrożnie stawiając stopy w klapkach, dotarły do wyścielanych mat, przy mocowanych do dachu liną. Ułożyły na nich ręczniki, a potem położyły się, by nasycić ciała słońcem. Podziwiałem ciało przyjaciółki Lily, lecz dzielił nas zbyt duży dystans, bym mógł zauważyć więcej ponad to, że była drobnej budowy, miała niezłe kształty i nosiła skąpe, żółte bikini.

---

<sup>1</sup> Galon (skrót *gal*) – miara objętości (pojemności) płynów i ciał sypkich w krajach anglosaskich (przyp. red.).



Po dwóch godzinach pracy miałem już zdrapane ostatnie skrawki farby, więc zacząłem z podkładem. Swoje zadanie wykonałem starannie i uważnie, jak przystało na perfekcjonistę. Fakt, że nim byłem, pozwolił lepiej rozumieć to, co wydarzyło się chwilę później. Zazwyczaj moje zamiłowanie do perfekcji miało pozytywne skutki. Egzaminy zdawałem śpiewając i przodowałem w każdej grze komputerowej, w którą grałem. Jednak z drugiej strony stawałem się drażliwy, zwłaszcza gdy skupiałem się na swoim zadaniu, a nagle coś mnie rozproszyło.

Gdy nałożyłem warstwę podkładu na pierwszą ćwiartkę ściany, usiadłem, podziwiając swoją bezbłędną robotę. Pociągnięcia pędzlem były minimalne, a farba rozproszona równomiernie po całej powierzchni okładziny. Nie wystąpiły żadne zacieki. Przygotowywałem się do rozpoczęcia malowania drugiej ćwiartki.

Tak, to tylko podkład, ale tak samo jak wszystko, co jest wartościowe, dobrze wykonany i solidny, zaważa na ogólnej jakości całej pracy. Słyszałem, że podobnie jest z miłością. Jeśli nie ma czegoś wartościowego, na czym bazowałaby relacja, to ta w końcu się rozpadnie. Dość słaba analogia, ale może pomóc romantykowi zrozumieć, w jaki sposób postrzegałem te sprawy.

Kiedy wstawałem, by przenieść narzędzia do miejsca, gdzie chciałem zacząć operację „Podkład – faza druga”, w śmieci przed domem sąsiada wjechała ciężarówka. Silnik był głośny, opony ogromne i przez chwilę zastanawiałem się, czy przymocowane do niej schodki w ogóle nadają się jeszcze do użytku oraz czy bestia jest w ogóle zalegalizowana w ruchu drogowym. Gdy skierowałem uwagę z powrotem na podkład, kątem oka zauważyłem, jak dwóch wielkich mężczyzn wychodzi z ciężarówki i kieruje się w stronę drzwi frontowych. Z kamuflażem od stóp do głów obaj mężczyźni wyglądali, jakby właśnie wrócili z polowania. Otworzyli drzwi frontowe, po czym jeden z nich wszedł do środka. Zaraz potem z domu dało się słyszeć litanię przekleństw.

Z wnętrza wyskoczyły dwa psy: jeden czarny, wyglądający jak mieszanka charta i teriera, drugi biały i mniejszy od pierwszego.

– Sasha! Bear! Zabierać swoje zapchlone tyłki z powrotem do środka! – Mężczyzna, który nie wszedł jeszcze do domu, krzyczał za psiakami, a ja zorientowałem się, że „zapchlone” stworzenia biegły w moim kierunku z pełną prędkością.

Gdy znalazły się przy mnie, już spływało z nich całe błoto nazbierane z kałuż, którymi upstrzone było podwórze. Ręce miałem zajęte, bo trzymałem w nich szczotkę i skrobaczkę. Cofnąłem się, próbując uniknąć futrzanych kul pędzących w moim kierunku. Ich zabłocone ciała uderzyły we mnie, popychając na ścianę z perfekcyjnie nałożonym podkładem, który właśnie zaaplikowałem. Natychmiast opanował mnie gniew. Te psy czekał koniec.

Wypuszczając szczotkę z ręki, chwyciłem za ciężką puszkę z podkładem i robiąc krok w przód, z dzikim krzykiem zamachnąłem się na zwierzęta, by odgonić je od domu.

Psy uniknęły uderzenia pojemnikiem i biegały wokół mnie, radośnie szczekając, jakbyśmy byli w trakcie ich ulubionej zabawy. Korzystając z pędu nadanego puszcze, zawirowałem, usiłując odgonić nią kundle, i zauważyłem, że te wciąż brudzą ścianę budynku błotem, piachem oraz liśćmi. Cały ukończony przeze mnie fragment został kompletnie zniszczony, a doprowadzenie tego do ładu zajmie kolejny dzień. W tym momencie nie byłem już w stanie nad sobą zapanować. Gniew zredukował mój sposób komunikacji do podstawowych, pierwotnych form, składających się na przypadkowe warknięcia, chrząknięcia oraz parsknięcia. Kiedy obracałem się za wściekłymi bestiami, mój poziom adrenaliny przekroczył stan krytyczny. A gdy określiłem się po raz drugi, zobaczyłem smugę żółci, a tuż po tym padłem na ziemię. Wylądowałem plecami w kałuży, a błoto spłynęło mi do oczu, oslepiając na moment. To dało mojemu przeciwnikowi

przewagę, którą natychmiast wykorzystał. Usiadł na mnie okra-kiem i napał, trzymając mnie za ramiona.

– Co ty, do cholery, odwalasz, dupku?! Zostaw moje psy w spokoju, zanim zmusisz mnie do połamania ci obu jebanych nóg i wepchnięcia ich w twój tyłek tak głęboko, że będziesz mógł posmakować mojego lakieru do paznokci!

Dłonie powędrowały mi do oczu, ścierając tyle błota, ile tylko mogły. Mrugając dwa czy trzy razy i zezując, mogłem wreszcie spojrzeć na pokrytą błotem, prychającą blondynkę.

– Jak masz zamiar się z tego wytłumaczyć? Te małe pieski po prostu próbowały się z tobą pobawić, a puszka farby mogła je zranić, ty kupo gówna! – Wstała, waląc dłońmi w moją klatkę piersiową, po czym poszła sprawdzić, czy z psiakami wszystko w porządku.

Usiadłem, próbując zetrzeć resztę błota z twarzy i wciąż gapi-łem się na zezłoszczoną, rozdygotaną i piękną dziewczynę po-krytą od stóp do głów błotem. I niemal tylko tym.

Furia rozbłysła w jej oczach, gdy spojrzała na mnie, pociesza-jąc przestraszone psy.

– Więc? Masz zamiar coś powiedzieć, czy będziesz tylko tak siedzieć i gapić się na mnie z rozdziawioną gębą? Nie rozumiem, dlaczego wszyscy nazywają cię geniuszem, skoro zachowujesz się jak krety.

Rzuciłem okiem na zrujnowaną ścianę, co momentalnie ode-gnało szok, zastępując go agresją narastającą do tego stopnia, że zacząłem widzieć na czerwono. Wstałem.

– Widzisz, co zrobiły twoje kundły ze ścianą, którą dopiero co pomalowałem?! – Zrobiłem krok w przód, z palcem skierowa-nym prosto w jej twarz.

Lily wbiegła pomiędzy nas, wyciągając ręce, by nas odsepa-rować.

– Dość! Uspokójcie się, do cholery!

Zlekceważyłem kuzynkę, gdyż nie skończyłem jeszcze wymiany spojrzeń z jej koleżanką, której niebieskie oczy błyszczały spomiędzy strug błota.

– Hunterze McCormick, spójrz na mnie w tej chwili! – Słowa Lily mnie zaskoczyły. Użycie mojego imienia i nazwiska wywołało odruch Pawłowa wpojony przez matkę, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Moje oczy powędrowały do kuzynki. Uśmiechnęła się przepraszająco. – Chciałabym ci przedstawić Ellison James.